

M. Brahmer, A. Brückner, F. Bujak, I. Chrzanowski, J. Dąbrowski, J. Dobrzański, K. Estreicher, St. Estreicher, J. Garbaciak, ka. T. Glemma, R. Grodecki, J. Hulewicz, L. Kamykowski, W. Konopczyński, J. Krzyżanowski, Ł. Kurdybacha, St. Kutrzeba, ks. J. Kwoltek, B. Leśnodorski, St. Łempicki, Z. Łempicki, B. Nawroczyński, W. Pniwski, W. Pocięcha, R. Pollak, St. Rospond, H. Radlińska,

ka. A. Schletz, T. Sinko, R. Skulski, P. Słania, K. Szkadłubowicz, B. Suchodolaki, St. Suchanek, St. Szezołka, A. Vetulani, Z. Wolf, I. Zarębski, J. Zathej.

Osoby, które chciałyby nabyć książkę, zechcą zgłosić zamówienie i przedpłatę w wysokości 600 złotych pod adresem: Komitet Jubileuszowy ku czei Profesora St. Kota, Kraków, Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

REDAKTOR: JAN HULEWICZ

REDAKCJA: KRAKÓW, UL. BARSKA 10, m. 5.

ADMINISTRACJA: „NASZA KSIĘGARNIA“, WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

„Z DZIEJÓW OŚWIATY I KULTURY“

Nakładem „Naszej Księgarni“ ukaże się niebawem seria wydawnictw p. t. „Z dziejów oświaty i kultury“, dająca obraz ciekawszych zjawisk i postaci z polskiej przeszłości oświatowej i kulturalnej. W serii tej ukażą się m. i. następujące prace:

Helena Ceysingerówna: Tajna praca oświatowa Warszawy na przełomie XIX i XX wieku (rzecz o Cecylii Śniegockiej).

Helena Radlińska: Badania regionalne dziejów pracy społecznej i oświatowej.

Stanisław Łempicki: Złote paski na kołnierzu. (Wspomnienia szkolne).

Stanisław F. Reymont: Życie i działalność Konrada Prószyńskiego (Kazimierza Promyka).

Zofia Żarnecka: Działalność oświatowa Faustyny Morzyckiej na tle epoki 1864—1910.

Stefan Julian Brzeziński: Geneza i charakter postępowego ruchu nauczycielskiego w Królestwie Kongresowym na tle powstania ruchu ludowego.

Henryk Barycz — Jan Hulewicz: Dzieje zawodu nauczycielskiego w Polsce.

ROK I

1947

PRZEGLĄD HISTORYCZNO OŚWIATOWY

KWARTALNIK
POŚWIĘCONY BADANIOM DZIEJÓW
OŚWIATY I WYCHOWANIA W POLSCE

3-4


KRAKÓW 1947
NASZA KSIĘGARNIA

Henryk Barycz

STAN I PERSPEKTYWY ROZWOJU HISTORII OŚWIATY I WYCHOWANIA W POLSCE

I

W obrębie dyscyplin historycznych szczególnie ciężko dotkniętych huraganem wojny zarówno w zasobie źródeł, ubytkach warsztatów pracy, co w stratach personalnych, jedno z pierwszych miejsc zajmuje niewątpliwie historia wychowania i oświaty. Straty i zniszczenia są tym dotkliwsze, gdy się zważy jej szczególną rolę i znaczenie w życiu oświatowym narodu naszego w ostatnich stu pięćdziesięciu latach.

Historia oświaty i szkolnictwa nie jest zwykłą pochodną dyscypliną w zespole nauk historycznych. Stanowisko jej wyznaczają dwa zasadnicze współczynniki: dawność oraz ścisły związek z narastającymi dążeniami i potrzebami wychowawczo-oświatowymi społeczeństwa. Historia wychowania i oświaty jest starszą od szeregu samodzielnych dziś dyscyplin historycznych, od historii sztuki, religii, wojskowości; na równi, jeśli idzie o chronologię, stoi pod względem starożytności z historią literatury czy historią obyczajów. Nie odgrywała też nigdy roli nauki abstrakcyjnej, pielęgnowanej dla samej potrzeby zaspokojenia celów poznawczych. Rozwój i główne momenty jej rozkwitu wyznaczały zawsze realne warunki i dążenia zmierzające bądź do odnowienia i oparcia szkoły polskiej o nowe wartości i idee pedagogiczne, bądź świadomie nawiązujące do najlepszych wzorów i tradycji naszej myśli i praktyki pedagogicznej dla przeciwdziałania niwelującym wpływom szkoły zagrobnej, obecnej nam z ducha, metod i działania. Już pierwsze właściwe dzieło, jakie historiografia polska w tym zakresie wydała, H. Kollątaja „Stan oświecenia w ostatnich latach panowania Augusta III” wyrosło z posiewu praktycznych, przynikniętych ideologią epoki oświecenia doświadczeń jego autora na niwie szkolnej w okresie Komisji Edukacji Narodowej. Drugi okres ze znakomitą „Historią szkół w Koronie i W. Księstwie Litewskim” J. Łukaszewicza oraz pierwszą syntezą powszechnych dziejów wychowania Br. Trentowskiego łączył się ściśle z dążeniem do stworzenia w zaborze pruskim ostoji samodzielnej myśli

wychowawczej polskiej, z szeroko podjętymi planami zbudowania na zasadach liberalizmu pedagogicznego i najlepszej tradycji wychowawczej rodzimej szkoły polskiej jako tamy przeciw wdzierającym się coraz silniej prądom germanizacyjnym szkoły pruskiej. Okres trzeci wiążący się z częściową odbudową szkolnictwa polskiego w byłym zaborze austriackim, w Galicji, wydał nowy, znakomity zespół pracowników i badaczy historyczno-wychowawczych, którzy udoskonalili metodę i położyli fundament pod ściśle naukowe, monograficzne badanie dziejów oświaty i szkolnictwa. Byli to Wielkopolanie z pochodzenia, ale warsztatem pracy związani z Małopolską: Antoni Danyasz, Kazimierz Morawski, Antoni Karbowski. Wreszcie przygotowywana i szeroko rozważana tuż przed pierwszą wojną światową reforma szkoły galicyjskiej w sensie podwójnym, w duchu mianowicie jej unowocześnienia i unarodowienia, zrodziła czwartą generację historyków oświaty w osobach Stanisława Kota, Heleny Orsza-Radlińskiej, Stanisława Łempickiego, Józefa Lewickiego, Zygmunta Kukulskiego, nawiązujących do najświetniejszych tradycji wychowawczych polskich z epoki humanizmu i oświecenia.

Dopiero jednak budowa nowej szkoły w Polsce Odrodzonej przyniosła żywy i wszechstronny rozwój badań naukowych w tej dziedzinie, stworzyła centralne dla nich organa i ośrodki naukowe, pierwsze katedry tego przedmiotu, wydała szeregi nowych pracowników. Obok zasłużonej, jedynej dotychczas instytucji kierującej badaniami nad historią wychowania i oświaty, jaką stanowiła założona w r. 1876 z inicjatywy J. Szujskiego Komisja do dziejów literatury i oświaty w Polsce Akademii Umiejętności w Krakowie, o dość wąskim i przypadkowym zakresie naukowo wydawniczym, pozbawionym całkowicie planowości, zjawia się powołana w r. 1919 przez Ministerstwo W. R. i O. P. Komisja do badania dziejów wychowania i szkolnictwa w Polsce z siedzibą w Krakowie. W ciągu pierwszych lat swej działalności (do r. 1925) rozwija ona i próbuje zrealizować szeroko pomyślany i celowo rozbudowany program prac związanych z odtworzeniem dalszej i bliższej przeszłości naszej myśli i praktyki pedagogicznej, pogłębieniem kultury historyczno-pedagogicznej szerokich rzesz nauczycielstwa polskiego, wreszcie ze stworzeniem niezbędnego pomocniczego aparatu przez ogłaszanie cenniejszych materiałów źródłowych i rejestrację całego zasobu rękopiśmiennego w tej dziedzinie, ukrytego w bibliotekach i archiwach. Celem jej było zapelnienie nie tylko lukę w najbardziej podstawowych epokach rozwoju naszej historii wychowania przez inicjowanie i popieranie prac monograficznych — po raz pierwszy także o charakterze zespołowym — oraz uprzyścić w przedrukach najcenniejsze pomniki naszej myśli pedagogicznej. Brak należytej opieki i zrozumienia ze strony ówczesnego Ministerstwa, borykanie się z trudnościami materialnymi w okresie fluktuów polityki inflacyjnej i deflacyjnej sprawiły, że znakomity program Komisji nie zdołał wejść w życie. Pozostały po nim *disiecta membra* daleko sięganych dążeń i zamierzeń, kilka cennych i odkrywczych prac konstrukcyj-

nych oraz zaczątki systematycznego zestawiania rękopiśmiennego materiału do dziejów wychowania i oświaty.

Spuścizną po rozwiązanej w r. 1929 Komisji ministerialnej zarówno w zakresie wydawniczym, co organizacyjno-naukowym, przejęły w drugim dziesięcioleciu Polski Odrodzonej (1929—39) dwie nowo zorganizowane placówki: utworzona w łonie Polskiej Akademii Umiejętności Komisja do dziejów oświaty i szkolnictwa w Polsce, której dorobkiem było wydanie do wybuchu wojny pięciu tomów wydawnictw źródłowych i prac konstrukcyjnych podstawowej wartości naukowej oraz Komisja historyczna Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego w Krakowie z planem naukowym może nieco mniejszym, bo z trzema li tylko tomami rozpraw monograficznych.

Okres Polski Odrodzonej stanowi i pod innym względem duży postęp w omawianej przez nas dziedzinie. Przyniósł on pierwsze katedry historii szkolnictwa w naszych uniwersytetach, które podjęły systematyczne szkolenie pracowników naukowych. Zwłaszcza doniosłe znaczenie miały pierwsze lata odrodzonej państwowości. Powstały wówczas trzy katedry utworzone dla zasłużonych, wytrwałych pracowników naukowych na niwie historyczno-wychowawczej: w Poznaniu dla A. Danyusza, w Wilnie dla L. Janowskiego i w Łodzi dla St. Łempickiego. Stanowiły one ożywe źródło dla dalszego rozwoju i przyszłości historii wychowania, bo jakkolwiek dwie pierwsze rychło przez zgon swych profesorów uległy likwidacji, przecież zdołały one wytworzyć atmosferę sprzyjającą dla dalszych w tym kierunku studiów i poczynić naukowych.

Ostatecznie w drugim dziesięcioleciu Polski Odrodzonej wykrystalizowały się trzy główne ośrodki badań i pracy historyczno-wychowawczej. Prym wiodł Kraków, który pod znakomitą przewodnictwem prof. Stanisława Kota w ciągu trzynastoletniej działalności na katedrze historii kultury polskiej zdołał stworzyć żywe, najbardziej płodne i owocne pracujące ognisko studiów nad historią wychowania i wnieść duży ilościowo i jakościowo wkład do poznania przeszłości polskiego szkolnictwa we wszystkich niemal jej epokach i najbardziej charakterystycznych momentach rozwoju (ks. St. Bedorzeki, W. Bobkowska, J. Hulewicz, H. Barycz, W. Rose, M. Mierzancka, J. Freylichówna i t.). Drugie z kolei środowisko lwowskie skupiło wokół jedynej profesora tego przedmiotu w Polsce, St. Łempickiego, również liczne grono młodszych pracowników naukowych poświęcających się zarówno rozświetleniu staropolskiego, co zaborczego w byłej dzielnicy austriackiej szkolnictwa (A. Knot, L. Kurdybacha, J. Dohrzański, ks. A. Schletz). Z ośrodka tego wyrósł też pierwsze i jedyne czasopismo historyczno-wychowawcze w Polsce, „Minerwa Polska” (tom I i II, 1926—29). Jeśli z Krakowa wyszedł pierwszy znakomity podręcznik historii wychowania na poziomie uniwersyteckim, to ośrodek warszawski obdarzył naukę pierwszym syntetycznym ujęciem polskiej myśli wychowawczej (książka B. Nawroczyńskiego „Polska myśl pedagogiczna”, 1938).

Twórczym i owocnym, mimo braku właściwego jednolitego kierownictwa, okazał się także ośrodek warszawski. Ruch naukowy skupił się tu nie tyle w samym Uniwersytecie, ile raczej w archiwach oraz w Wolnej Wszechnicy, gdzie czynne były nie tylko dwie katedry: historii pedagogiki (Wiktor Wąsik) oraz historii i organizacji szkolnictwa w Polsce (Stefan Truchim), ale gdzie najbardziej płodną działalność w zakresie organizacji badań nad historią oświaty i szkolnictwa rozwinęła Helena Radlińska, skupiając wokół siebie liczne grono uczniów. Do weteranów historiografii wychowania: Teodora Wierzbowskiego, Józefa Bielińskiego dołączyli się tu przybyli Małopolanie względnie wychowawcy tamtejszej atmosfery naukowo badawczej: śp. Józef Lewicki, Kazimierz Konarski, autor wzorcowego monograficznego opracowania dziejów jednej szkoły („Nasza Szkoła”. Księga Pamiątkowa Warszawskiej Szkoły Realnej), Stefan Truchim. Obok nich zgodnie do pracy stanęło pokolenie młodsze, wychowawcy Uniwersytetu Warszawskiego: Wincenty Gorzycki, Maria Manteufflowa, Hanna Pohoska i i. Zespół warszawski posiadał własne, odrębne oblicze: wysiłek badawczy twórczy skupił głównie na wielkich, przełomowych epokach historii wychowania, przede wszystkim na działalności Komisji Edukacji Narodowej, z silnym podkreśleniem momentów społecznych oraz na rozwoju instytucji szkolnych i oświatowych Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, reformie margrabiego Wielopolskiego i badaniu dziejów oświaty pozaszkolnej. Ośrodek warszawski dał też pod redakcją B. Nawroczyńskiego dwutomowe, obszernie opracowanie dziejów walki o szkołę polską na przełomie XIX i XX wieku.

Mniejsze znaczenie miały trzy dalsze środowiska uniwersyteckie: poznańskie ze Stanisławem Tyncem i wcześniej umilkłym uczniem Danysza, Karolem Mazurkiewiczem, wileńskie, w którym prace badawcze nad historią Uniwersytetu Wileńskiego i jego szkołami po niezapomnianym, pełnym niewyczerpanego zapachu Ludwiku Janowskim przejął Tadeusz Turkowski i wreszcie lubelskie z pierwszorzędnym organizatorem i wydawcą źródeł, mniej historykiem konstruktorem, Zygmuntem Kukulskim.

W sumie plon prac i studiów dwudziestolecia Polski Odrodzonej wniósł ogromny wkład w rozświetlenie i zbadanie najważniejszych epok i momentów rozwojowych historii wychowania. Zostawiając na boku średniowiecze jako okres stosunkowo najlepiej poznany skupiono główną uwagę na czasach nowożytnych, a zwłaszcza po raz pierwszy na szerszą skalę włączono do zakresu badań w sposób czysto naukowy traktowane dzieje szkolnictwa w dobie zaborów. Historiografia wychowania otrzymała wyczerpujące monograficzne ujęcia staropolskich ideałów wychowawczych pedagogicznych (St. Lempicki, J. Frelichówna, Ł. Kurdybacha), obszerniejsze całości dotyczące szkolnictwa wyjącego w epoce humanizmu (Tync, Barycz, St. Lempicki, Mazurkiewicz, Kot), rewelacyjne wyniki nad początkami, a potem odrodzeniem szkolnictwa jezuickiego (ka. St. Bednarski). Zainicjowane zostały dalej systematyczne prace nad

studiami polskimi w uniwersytetach obcych zarówno w dalszej przeszłości (Kot, Lempicki, Barycz), co bliższej, drugiej połowy w. XIX (J. Hulewicz). Szczególnie bogate wyniki dały studia prowadzone nad epoką Komisji Edukacji Narodowej i całym tym wielkim przełomem spowodowanym przez oświecenie (by przykładowo wymienić rzeczy Kota, Wierzbowskiego, Tynca, Pohoskiej, Miterzanki, Szumowskiego, Truchima i i.). Trwale podwaliny pod znajomość urzędów oświatowych i głównych dążeń wychowawczych w początkach XIX stulecia rzuciły prace W. Gorzyckiego, W. Bobkowskiej, Z. Kukulskiego, M. Manteufflowej; historiografię Uniwersytetu Wileńskiego wzbogaciły poważnie studia i wydawnictwa źródłowe L. Janowskiego, St. Pigoń, T. Turkowskiego, Modelskiego i i. Politykę oświatowo-szkolną zaborców z powodzeniem odśladali żmudne badania W. Bobkowskiej, L. Regorowicza, A. Knota, J. Dobrzańskiego, Z. Zboruckiego, M. Jabczyńskiego i i. Problemy z przeszłością pracy oświatowej dorosłych związane oświetliła i o podstawy źródłowe oparła H. Orsza-Radlińska i jej uczniowie, ważną sprawą wychowania i kształcenia kobiet zajęła się I. Kotowa, I. Zaleska-Stankiewiczowa, a przede wszystkim J. Hulewicz, zarys szkolnictwa wojskowego dał Knot, nad przeszłością szkolnictwa zawodowego pracowali m. i. Jerzy Fierich, L. Regorowicz i i.

Słowem nie było epoki ani ważniejszej strony w historii wychowania, któreby jeśli nie przeorało, to chociaż nie dotknęło pióro badacza, nie było problematyki, któreby nie próbowano rozwiązać. Po raz pierwszy wkroczone nawet na teren badań nad dziejami wychowania u obcych zarówno w starożytności (Fr. Smolka), co w czasach nowszych (Pohoska). Wreszcie poważnie został powiększony stan wydawnictw źródłowych o szereg podstawowych pozycji rzucających światło na nowe dziedziny naszej myśli i działalności pedagogicznej od średniowiecza po epokę Metternicha (Kot, Barycz, Kamińkowski, Tync, Lewicki, Kukulski, Bobkowska). Obok indywidualnych wysiłków badawczych podjęte w końcu zostały pierwsze na wielką skalę, niestety nie doprowadzone do skutku prace zespołowe: zainicjowane przez prof. Kota doniosły plan wydawnictwa źródeł do dziejów naszego życia umysłowego i stosunków z zachodem oraz zaprzepaszczone ze śmiercią inicjatora i głównego kierownika, F. Bostla, a będące w częściowej realizacji opracowywanie dziejów szkolnictwa galicyjskiego pod zaborem austriackim.

Stan katedr historii wychowania w uniwersytetach naszych w przededniu wybuchu wojny daleki był od stanu zadowalającego: w sumie mieliśmy jedną katedrę w Uniwersytecie lwowskim i dwie katedry w Wolnej Wszechnicy. Braki te równoważyła częściowo tylko dostateczna i wystarczająca dla wszystkich środowisk uniwersyteckich liczba habilitowanych docentów (z wyjątkiem wileńskiego, który nie posiadał żadnego docenta). Najlepiej przedstawiał się pod tym względem ośrodek krakowski, gdzie obok prof. St. Kota, po śmierci z katedry prowadzącego ćwiczenia z historii wychowania w charakterze docenta, działali H. Barycz (od r. 1935), J. Hulewicz (od r. 1939) oraz sto-

jąca przed habilitacją W. Bobkowska. Lwów, Warszawa i Poznań mieli po jednym docencie (Ł. Kurdybacha, H. Pohoska, St. Tync).

II

Ten pełen rozmachu twórczego, wielkich przedsięwzięć badawczych, stalego rozrostu kadry pracowników naukowych okres, niewątpliwie bardzo pomyslny w rozwoju historii wychowania, przerwał brutalnie wybuch wojny r. 1939. Ta najokrutniejsza i najbezwzględniejsza z wojen, zarazem wojna totalnego niszczenia kultury polskiej przyniosła katastrofalne następstwa dla naszej dyscypliny naukowej. W pierwszym rządzie spowodowała wręcz niechywale wytrzebienie zasobu źródeł do historii wychowania, tym groźniejsze, że nie dające się — jak w historii politycznej i dyplomatycznej — zastąpić innymi, pochodnymi kategoriami materiałów przechowywanych w tajnych archiwach zagranicznych ministerstw spraw zagranicznych. Przepadło tak bezcenne a tak w gruncie rzeczy bardzo mało wyzyskane archiwum Komisji Edukacyjnej (dobrze że na kilka lat przed wojną sięgnął do niego Francuz A. Jobert). Spłonęło prawie że doszczętnie jeszcze podczas obrony Warszawy w r. 1939 wielkie, jedyne w Polsce archiwum typu szkolnego, Archiwum Oświecenia, mieszczące w sobie zespoły akt wszystkich naczelnych władz i instytucji oświatowych Kongresówki od początku w. XIX do odzyskania niepodległości. Niemniejszą wyrwę dla badań naukowych przyniosło przekazanie na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, w maju 1939 r. do Wilna, w wyniku złożonej jeszcze przy otwarciu Uniwersytetu Stefana Batorego w r. 1919 deklaracji ks. ordynata A. L. Czartoryskiego, niezwykle zasobnego i pierwszorzędne znaczenie mającego dla historii rozkwitu oświaty polskiej z początkiem w. XIX na ziemiach litewsko-ruskich, tzw. niesłusznie Archiwum Kuratorii Wileńskiej z Krakowa (właściwie złożone z prywatnego archiwum Kuratorii ks. Adama Czartoryskiego i ocalonego przez prof. Michała Pełkę Polińskiego właściwego archiwum Uniwersytetu Wileńskiego). Poza granicami państwa znalazło się częściowo już podniszczone i zdewastowane przy pożarze nowego gmachu uniwersyteckiego w jesieni 1942 r. Archiwum Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (drugie to już spustoszenie jego zbiorów po pierwszym w r. 1848). W ten sposób po splonięciu archiwum Uniwersytetu Warszawskiego wchodzącego do zespołu akt Archiwum Oświecenia oraz archiwum dawnej Akademii Zamojskiej (znajdującego się w archiwum domowym Zamoyskich) jedynym archiwum uniwersyteckim w Polsce, które wyszło cało z pożogi wojennej, jest Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Tak przedstawia się stan samoistnych jednostek archiwalnych typu szkolnego. Do nich doliczyć trzeba niestety jeszcze te działy registratorów władz szkolnych, które wchodziły do większych zespołów w archiwach państwowych. I tu spustoszenia są katastrofalne. Wraz z całym nowszym zasobem aktów z w. XIX przepadła dla badań i poznania historycznego nieoceniona dla studiów nad

pruską polityką germanizacyjną w Wielkopolsce registratora akt władz pruskich w Archiwum Państwowym w Poznaniu. Ten sam los, jak się zdaje, podzieliły akta szkolne oraz nieodszukane dotychczas archiwum Uniwersytetu Wrocławskiego, stanowiące część składową Archiwum Państwowego we Wrocławiu. Poza granicami państwa, a więc i zasięgu badań, są dwa wielkie archiwa: tzw. Archiwum Namieśnictwa we Lwowie z aktami centralnych władz szkolnych i politycznych Galicji oraz Państwowe w Wilnie. W ośmiesiątce wojny poprzepadły względnie uległy zniszczeniu akta lokalnych szkół, nieraz bardzo starych i posiadających własną tradycję (np. gimnazjum toruńskiego, wielu gimnazjów wielkopolskich, galicyjskich). Co gorsza, przepadł spalony w zbrodniczy sposób i z premedytacją w październiku r. 1944 wraz z całym zasobem tzw. Archiwum akt nowych cały zespół aktowy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Polski Odrodzonej. Nie można wreszcie zapominać o zagładzie przechowywanych w Bibliotece w Suchej resztek archiwum pijarskiego z w. XVIII i XIX oraz cennych materiałów do historii polskiego szkolnictwa na emigracji w XIX w. w Bibliotece Narodowej (dział rapperswylski, tu bogate i niemal zupełnie niewyzyskane materiały do życia ideowego i organizacyjnego młodzieży polskiej w uniwersytetach zagranicznych), jako też wielu cennych rękopisów z tej dziedziny w Bibliotece Krasiańskich, Zamoyskich, Przeździeckich w Warszawie, Raczyńskich w Poznaniu. Zniszczeniu uległo także wiele prywatnych archiwów wybitnych działaczy na polu oświaty i nauki, by przykładowo wymienić archiwum Śniadeckich w Jaszczach, bogatą korespondencję fizyka M. Smoluchowskiego, cenne zbiory prof. A. Wrzóska w Poznaniu itd.

W sumie można uważać za przypadły doszczętnie względnie w tej chwili za niedostępny dla badań naukowych tak bujny i ciekawy okres nowożytnego szkolnictwa naszego od r. 1740 do r. 1945, a więc od reformy szkół pijarskich, poprzez epokę Komisji Edukacyjnej, budowę nowoczesnego szkolnictwa za Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, politykę szkolną trzech państw zaborczych i martyrologię szkoły polskiej w okresie niewoli po dwudziestolecie Polski Odrodzonej łącznie z okresem okupacji niemieckiej.

Dalszym poważnym ciosem dla polskiej historiografii wychowania stanowi zgon dużej liczby badaczy wysoko wykwalifikowanych, pełnych rozmachu twórczego. Zginęli śmiercią męczeńską z rąk okrutnego wroga: znakomity historyk szkolnictwa jezuitckiego ks. Stanisław Bednarski (zm. w Dachau w r. 1942), historyk Akademii Lubrańskiego w Poznaniu ks. Karol Mazurkiewicz (zamordowany w Mauthausen w r. 1942); w tymże 1942 roku rozstrzelany w Warszawie Józef Lewicki, niezrównany wydawca źródeł z okresu Komisji Edukacji Narodowej; na emigracji w dalekiej Szkocji zmarł w r. 1944 Z. Kukulski, znawca nowszych dziejów naszego szkolnictwa; w tym roku rozstał się ze światem wydawca korespondencji J. Śniadeckiego, L. Kamiński i wielu innych.

Poprzepadał w dużej mierze także dorobek wielu lat wyteżonej pracy zbierającej i konstrukcyjnej tych i innych badaczy. Spłonął w Warszawie jeszcze w r. 1939 rękopis zupełnie wykończony i gotowy do druku a niezwykle cennej, jak wszystko co wychodziło spod pióra Wacława Tokarza, monografii o Hugonie Kollątaju. Padły pastwą ognia w czasie powstania warszawskiego gromadzone przez lat dwadzieścia z górą niezwykle pieczołowicie i z uporem przez J. Lewickiego materiały do działalności H. Kollątaja w dobie Komisji Edukacyjnej, w szczególności dwutomowe, mające wyjść nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego, prawie że gotowe wydawnictwo korespondencji i aktów Kollątaja z okresu jego wizytatorstwa i rektorstwa w Szkole Głównej Koronnej. Przepadła prawdopodobnie przygotowywana przez ks. Mazurkiewicza historia Akademii Lubrańskiego, owoc długoletniej pracy; podobny los spotkał część drugą historii gimnazjum toruńskiego zasłużonego badacza St. Tynca, cenne studia Heleny Radlińskiej, „Walka o duszę ludu. 1864—1913 (Ziemia Płocka)“, Barycza obszerny zarys dziejów uniwersytetów w Polsce i wiele innych. Okres polskiej „smuty“ przyniósł rozproszenie i prawdopodobnie także zaginięcie cennych tek F. Bostla zawierających materiały do dziejów szkolnictwa galicyjskiego z l. 1772—1918 (głównie wypisy z Archiwum Państwowego we Lwowie oraz ze zniszczonego w r. 1927 Archiwum Ministerstwa Oświaty w Wiedniu). Jaki los spotkał cenne teki L. Janowskiego z materiałami do dziejów Uniwersytetu Wileńskiego i Liceum Krzemienieckiego oraz drugi tom „Listów z Krakowa Jana Śniadeckiego“ w opracowaniu L. Kamykowskiego, których rękopis wypożyczony przed wojną do Wilna nie wrócił dotychczas z powrotem do Krakowa, nie wiadomo.

III

W zmienionych z gruntu warunkach przychodzi dziś historykom wychowania i oświaty rozpoczynać przerwana pracę. Zniszczone kompletnie warsztaty pracy, zdewastowane zasoby źródłowe, wielki ubytek i przemieszanie pracowników naukowych oto znamienne i typowe zespół warunków, w jakich znalazła się nasza historiografia wychowania w chwili odzyskania niepodległości.

Pierwsze lata powojenne przynoszące tak gruntowną zmianę w rozmieszczeniu szkolnictwa uniwersyteckiego spowodowały wykrystalizowanie się obok dawnych przedwojennych placówek nowych ośrodków studiów nad historią wychowania. Ze starych wysuwa się Kraków, posiadający zarówno żywą tradycję, co szczególnie dogodną podstawę źródłową dla rozwoju w tej dziedzinie badań. Ma on centralny niejako organ naukowo-wydawniczy w postaci Komisji do dziejów oświaty i szkolnictwa w Polsce PAU oraz w mniejszym stopniu Komisja historyczną Naukowego Towarzystwa Pedagogicznego; wreszcie tu także ukazało się nowe czasopismo naukowe „Przegląd Historyczno-Oświatowy“, powstałe jednak głównie dzięki inicyjatywie Komisji do badania dzie-

jów oświaty i wychowania Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie. Cenny warsztat pracy posiada on obok innych miejscowych archiwów: miejskiego i kościelnych przede wszystkim w ocalałym Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego, które oprócz zespołu akt ściśle uniwersyteckich na przestrzeni prawie sześciu wieków istnienia uczelni zawiera także cenne zasoby materiałów do historii szkolnictwa niższego i średniego pozostającego pod zwierzchnictwem Uniwersytetu (kolonie akademickie, szkolnictwo średnie w Koronie z doby Komisji Edukacyjnej, szkolnictwo parafialne i średnie z okresu Rzeczypospolitej krakowskiej). Również cenny zbiór jezuitów polskich, który zgromadził z zagranicznych archiwów jezuitów niezapomniany ks. St. Bednarski w Bibliotece oo. jezuitów na Wesołej, może stać się podstawą studiów nad zagadnieniami szkolnictwa tego zakonu.

Duże możliwości rozwojowe posiada także wykrystalizowany już po wojnie ośrodek łódzki, reprezentowany przede wszystkim przez wytrawną badaczkę historii oświaty polskiej czasów nowszych Helenę Radlińską, który rozporządza na miejscu dużym zasobem źródeł, głównie dziewiętnastowiecznych, aktów szkolnych z przeniesionego tu z Piotrkowa Archiwum Państwowego (akta generalgubernatorstwa). Podnosi się ośrodek warszawski pozbawiony niestety w większości swych bogatych materiałów rękopiśmiennych. Do dawniejszych, przed wojną tu działających historyków: B. Nawroczyńskiego, K. Konarskiego, H. Pohoskiej, M. Manteufflowej przybyli osiedleni już po wojnie przede wszystkim Bogdan Suchodolski rozpatrujący problemy pedagogiczne na szerokim podłożu przemian historyczno-kulturalnych, a ostatnio lwowski historyk wychowania Łukasz Kurdybacha. Tu także od r. 1945 rozwija działalność Komisja do badania dziejów oświaty Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz utworzona w Ministerstwie Oświaty placówka poświęcona gromadzeniu materiałów do dziejów konspiracyjnego nauczania w okresie okupacji niemieckiej.

Mniej sprzyjające warunki i perspektywy pracy badawczej, przede wszystkim z uwagi na brak tradycji oraz póniszczone zasoby źródeł, mają inne środowiska naukowe. Niemniej i one wykazują pewną aktywność, jak wrocławskie z prof. pedagogiki Stanisławem Tyncem i dyr. Antonim Knotem, lubelskie z habilitowanym (1945/6) i działającym w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Janem Dobrzańskim, dawniejszym wychowankiem Uniwersytetu Jana Kazimierza, poznańskie po odejściu St. Tynca z doc. M. Wachowskim na czele.

Drugim niemniej ważnym czynnikiem warunkującym rozwój badań historyczno-wychowawczych i wytyczającym im dalsze drogi i kierunki stanowi materiał historyczny, którym dysponujemy. Otóż zagłada całych wielkich działów historii szkolnictwa nakłada szczególnie obowiązek starannego i planowego gospodarowania ocalałymi zasobami, zanim nie otworzą się przed naszą historiografią wychowania nowe możliwości źródłowe (dotarcie do archiwów lwowskich, wileńskich i innych zagranicznych). Po drugie w sposób planowy należy ująć sprawę odtworzenia — poki pamięć ludzka się nie zatarała i główni dzia-

łazce szkolni nie wymarli — dwudziestolecia szkoły Polski Odrodzonej i męczeńskiego pięćdziesięciu lat szkoły okupacyjnej.

Wychodząc z tych założeń przyszłe badania historyczno-wychowawcze powinny w pierwszym rzędzie zająć się szerzej i gruntowniej dziejami wychowania staropolskiego z okresu przed Komisją Edukacyjną. Dzięki szczęśliwie w dużej mierze ocalonym źródłom kościelnym należałoby podjąć od nowa badania nad szkolnictwem pozostającym pod zwierzchnictwem Kościoła, z szczególnym uwzględnieniem oświaty szerokich, nieuprzywilejowanych warstw chłopskich i mieszczańskich. Winno się także rozwinąć studia — jakże jeszcze dalekie od wyczerpania przedmiotu — nad historią szkolnictwa wyższego (Akademia Krakowska w. XVII—XVIII, Akademia Lubrańskiego) i różnowierczego. Wielkie i nęcące perspektywy przedstawiają mało rozpracowane dzieje rozkwitu a potem dość szybkiego upadku szkolnictwa jezuickiego w pierwszych dwóch wiekach jego istnienia u nas, w nowym oświeceniu winna wyjść myśl i praktyka pedagogiczna wieku XVII, bogatego w problematykę i nowe pomysły wychowawcze a badanego bardzo powierzchownie i zgoła niedostatecznie. Szczegółowemu zbadaniu winna ulec geneza reformy i sama reforma szkół pijarskich.

Drugą dziedziną, na której mógłby skupić się wysiłek badaczy, jest wielkie zagadnienie studiów polskich w uniwersytetach zagranicznych i kontaktów umysłowych z ośrodkami kulturalnymi Europy zachodniej. Duża praca włożona w zgromadzenie tego arcybogatego materiału, wykonana w okresie Polski międzywojennej, nie powinna być zmarnowana. Nawet zniszczenie wielu bibliotek obcych i swoich nie może stanowić przeszkody w ostatecznej publikacji tego nieocenionego materiału, który dopiero w należytych świetle postawi rozwój naszej oświaty i wykaże jej źródła w poszczególnych epokach od średniowiecza począwszy. Koniecznym byłoby tylko rozszerzenie zasięgu tej publikacji także na cały wiek XIX i początek XX, tj. do chwili odrodzenia i odbudowy własnego szkolnictwa.

Inny charakter winny posiadać prace związane z odtworzeniem całokształtu naszego szkolnictwa, wszystkich jego stopni i typów w okresie Polski odrodzonej 1918—39. Zniszczenie zupełne materiału aktowego przez Niemców usuwa spod normalnej, metodycznej pracy historycznej ten ważki okres szkoły polskiej, stanowiącej mimo nieuniknionych braków w dziejach wychowania dodatnią pozycję, która zaważyła dobitnie na zachowaniu jednolitej, zwartej postawy narodowej całego społeczeństwa w okresie okupacji. Obowiązkiem naszej generacji jest jak najszybsze zorganizowanie zbiorowej publikacji, w którejby wyszedł wszechstronny obraz rozwoju tego szkolnictwa i któraby przyniosła wystudiowane *sine ira et studio* ujęcie jego osiągnięć i niedociągnięć, walorów i braków, przedstawiła jego ustrój, dążenia i metody, politykę oświatową itd.

Jako stadium drugie tej pracy nasuwa się spontanicznie sprawa zajęcia się coraz bardziej oddalającą się w przeszłość szkoły i wychowania w ciemnych

i ponurych mrokach lat okupacyjnych 1939—45. Dotychczasowy wysiłek zmierza niemal wyłącznie do uratowania od niepamięci wielkiego, heroicznego okresu tajnego nauczania. Z dziedziny tej ukazało się, względnie jest w przygotowaniu szereg cennych przyczynków i doraźnych wspomnień głównych działaczy tego nauczania. Nie jest to jednak, jak dotychczas, wysiłek i praca skoordynowana. Winno się zorganizować przy wszystkich inspektorach odpowiednio komisje, któreby się zajęły wpięrcw opracowaniem lokalnych historii tajnego nauczania w każdym powiecie. Dopiero po szczegółowym ujęciu oddalonym tego zagadnienia można będzie przejść do odtworzenia całokształtu (zwłaszcza jeśli chodzi o strukturę organizacyjną) tej doniosłej i historycznej roli społecznej szkoły polskiej w podziemiu.

Utrwalenie pamięci obrazu szkoły konspiracyjnej — to dopiero jedna strona zagadnienia. Pozostaje druga, niemniej ważna, o której, jako o rzeczy wstrętnej i hańbiącej naszą cywilizację, nie chcemy dziś mówić, nawet wspominać — to dzieje oficjalnej szkoły dla „nieniemców“ w Generalnym Gubernatorstwie, dzieje szkoły pod okupacją. A jednak potomnym ku przestrodze, ciemiężcom ku wiecznej hańbie trzeba, wprost obowiązkiem jest naszym zająć się odtworzeniem oblicza „duchowego“ tej szkoły unikatu w historii pedagogiki, której struktura zgóry wykreślała nie tylko szkolnictwo wyższe ale i ogólnokształcące na stopniu średnim dla Polaków, szkoły skierowanej fi tylko ku kształceniu zawodowemu, w której języka polskiego uczono na korespondencji handlowej, szkoły pozbawionej, jak ongiś w zamierzonym średniowieczu, zupełnie podręczników, słowem szkoły będącej zaprzeczeniem najprymitywniejszych zasad pedagogiki. Nie wolno nam pozbawić przyszłych pokoleń pamięci o tych wszystkich wyrafinowanych metodach przedstawicieli szczytnych ideałów pedagogiki niemieckiej w rodzaju hofrata Watzkego, pierwszego szefa „Hauptabteilung und Unterricht“ rządu Generalnego Gubernatorstwa i jego godnych pomocników, które świadczą najmocniej o programowym dążeniu hitlerowskich Niemców do całkowitego zniszczenia Polski jako narodu kulturalnego.

Trzecią sprawą związaną z losami szkolnictwa naszego w latach wojny, to ujęcie całokształtu dążeń i wysiłków oświatowo-szkolnych tej wielkiej diaspory rozrzuconej po wszystkich niemal kontynentach, jaką przedstawiała nasza emigracja wojenna. Dotychczas pojawiły się tylko drobne fragmenty i wycinki dotyczące szkolnictwa wyższego. Czas zatem na objęcie przez historię i niższych szczebli kształcenia elementarnego i średniego.

Oprócz zadań czysto erudycyjnych i badawczych polska historiografia wychowania niemal od zarania swego istnienia spełniała cel drugi, niemniej ważny, bo społeczny, związania szerokich rzesz nauczycielstwa z najpiękniejszymi tradycjami szkoły polskiej, przekonania go o wartości jego codziennego trudu w perspektywie historycznej, ukazania mu jakimi szlakami dążyła polska myśl wychowawcza w realizacji swych celów, jakie trudności miała do

zwalczenia, jakie idee ożywiały głównych jej działaczy i pionierów oświaty. Urzeczywistnieniu tego celu służyć winny z jednej strony możliwie szeroka rozbudowa lokalnej i partykularnej historii poszczególnych szkół, z drugiej ukazanie w osobnej serii sylwetek głównych działaczy, organizatorów, mecenasów oświaty i szkolnictwa. Mimo wielkich szczyrb i luk w materiałach źródłowych większości szkół da się zrekonstruować w oparciu o inne źródła (miejskie, kościelne) dzieje szeregu ważnych placówek szkolnych i wychowawczych, posiadających wiekową nieraz tradycję. Również zrealizowanie drugiego celu: ukazanie sylwetek głównych pionierów, budowniczych i przodowników oświatowych od średniowiecza po czasy dzisiejsze, przedstawienie ich trudu, zmagania, ocenienie wkładu do wielkiego dzieła postępu jest zadaniem wdzięcznym, który przynieść może duży pożytek i znaleźć żywy oddźwięk w szerokich kołach pracowników szkolnych.

Kazimierz Konarski

MINISTERSTWO W. R. i O. P. W LATACH 1917—1921¹⁾

Tymczasowa Rada Stanu, czyli tzw. Teresa, mieściła się w pałacu Kronenberga przy ul. Mazowieckiej. Tam także na razie gnieździły się i jej departamenty. Naszej oświacie dostał się nikczemny lokal na jakichś hardzo kuchennych, ciemnych schodach, składający się z jednej sporej sali i dwóch kłitek. W tym tedy apartamencie kręcił pierwsze swe biece z piasku genialny improwizator, wicemarszałek Rady Stanu, a równocześnie dyrektor Departamentu, a więc, jeśli nie formalnie, to faktycznie pierwszy minister oświaty odrodzonej Rzeczypospolitej, Józef Mikułowski-Pomorski. Współpracowałem z nim niestety tylko dwa tygodnie, bo zaraz w połowie grudnia r. 1917 powstał gabinet Kucharzewskiego, w którym tekę oświaty przejął Ponikowski, ale wystarczyło tych dwóch tygodni, żeby w pełni ocenić niezwykle zalety tego cichego, prostego, a jakże dostojnego człowieka. Znałem go zresztą dawniej, po części z rodziny, ile że był moim dalekim, znacznie zresztą starszym krewnym, widywałem go ongiś i w Dublinach, gdzie on był profesorem, a ja odwiedzałem mego brata, asystenta. Byliśmy nawet ze sobą po imieniu, ale dystans był między nami ogromny. On mąż stanu, człek o wyraźnej sylwetce duchowej, zdeklarowanym światopoglądzie, uchodził wszędzie za ojca współczesnej masonerii polskiej, pobratymstwo jego z szatanem było publiczną tajemnicą; ja fryc, początkujący jeszcze, zielony urzędnik, jak przedtem byłem zielonym profesorem²⁾, a później zielonym rekrutem w Legionach³⁾. Miarą, jak bardzo byłem niewyrobiony życiowo, czy wręcz naiwny, jest fakt, że widząc, że Pomorski ma przed sobą jakieś przemówienie, zaproponowałem mu w najlepszej zresztą intencji ulżenia mu w jego kolosalnej pracy, że może chce, bym ja mu... napisał to przemówienie. Byłem zbolaty, gdy się trochę zdziwił tej propozycji, a później krótko i węzłowato odmówił, nie zbesztawszy mię zresztą ani słowem za tę obraźliwą bądź co bądź dla polityka propozycję.

¹⁾ Niniejszy fragment wspomnień stanowi część obszernego „Pamiętnika” obejmującego lata 1886—1921.

²⁾ Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1915/16.

³⁾ W latach 1916/17.

Może wyczuł moją, choć głupią, ale dobrą intencję, bo beztańc umiał, jak było tego potrzeba, doskonale.

Z owych dwóch tygodni niewiele mi zostało w pamięci. Jakiś program mej działalności urzędowej naszkicowany kiedyś, w czasie jednej z rozmów. Miał on obejmować równoległe trzy kierunki. Jako sekretarz generalny miałem tedy wziąć na swe barki część reprezentacyjnych obowiązków i ciężarów ministra (przekształcenie Departamentu w Ministerstwo było spodziewane z dnia na dzień). Drugim ważniejszym obowiązkiem było czuwanie nad sprawnym funkcjonowaniem rozrastającego się i komplikującego się z każdym dniem mechanizmu naczelnej władzy oświatowej. Trzecim i najważniejszym, wchłonięciem w siebie i przetrwanie wszystkich najistotniejszych zagadnień, związanych ze szkolnictwem i stworzenie w ten sposób ośrodka stałej, niezależnej od fluktuacji ministerialnych pracy nad szkołą polską. Miałem, słowem, być duszą urzędu, źródłem jego inicjatywy, skarbnikiem doświadczeń, cyfr, danych statystycznych, słowem, zrębem, na który ten czy ów minister mógł być i powinien był oddziaływać w ten czy inny sposób, nie naruszając wszakże przez niewczesne eksperymenty jego podwalin.

Nie wiem, czy podobne ujęcie roli sekretarza generalnego było w ogóle osiągalne, stawało bowiem jego stanowisko niemal na równi z ministrem, jeśli nie wyżej od niego. W każdym bądź razie nie było osiągalne dla mnie. Może gdybym był w szkole Pomorskiego spędził dłuższy okres czasu, byłyby te momenty, jeśli nie rozwinęły się, to choć zakiełkowały silniej w mej młodej i chętnej duszy. Niestety, szkoła ta trwała wszystkiego dwa tygodnie, a następni moi szefowie nie zdradzali żadnych talentów, ani w ogóle zapędów pedagogicznych w stosunku do osoby sekretarza generalnego i woleli nawet w bezpośrednim swym otoczeniu nie mieć czynnika, z którym musieliby się mniej czy więcej poważnie liczyć. Dolożywszy do tego mój brak tapetu i pewności siebie, można było być pewnym, że z trzeciego mego obowiązku nie wywiąże się zgoła. Nie lepiej poszło mi z reprezentacją, do której zadawniona żywidem i żywie awersję. Skończyło się tedy na drugim punkcie mego programu, na roli oliwiarki, którą to rolę z dobrą wolą i gorliwością pełniłem przez całe cztery lata mego generalnego sekretarstwa.

Zaczynaliśmy z Pomorskim dosłownie niemal od ustawiania stołów i stołków. Nie było ich bardzo gdzie ustawiać. Lokal Departamentu był, jak się już rzekło, nikczemny. Tylko jeden dyrektor Departamentu miał do swej dyspozycji osobny pokój-klitkę, wysoce reprezentacyjny, bo jedyne jego drzwi otwierały się na korytarzyk z niedomykającą się chronicznie ubikacją. W sąsiedniej klitce rezydowałem ja i w mojej osobie Sekretariat Generalny, Stanisław Tomczycki, który reprezentował całą naówczas Sekcję IV, czyli Szkół Wyższych, pastor Geisler, referent wyznań ewangelickich oraz mec. Strzałkowski, radca prawny Departamentu. Śledzieliśmy dosłownie jeden drugiemu na karku, bo klitka z trudem mieściła dwa biurka. Jeszcze większy tłok pano-

wał na sali, gdzie „pracowały” dwie nasze najbardziej rozbudowane Sekcje Szkół powszechnych (I) i średnich (II), ogółem około dwudziestu osób literalnie depczących sobie po piętach.

Departament żył dwa tygodnie, po czym w dniu 15 grudnia r. 1917 przekształcił się w Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dziś się to łatwo mówi, ale w owe czasy były to przeżycia, od których pod lewą pachą rabiło się wcale gorąco. Rząd polski, polski minister oświaty. Od stu lat Warszawa czegoś podobnego nie widziała. Zapulsowały żywym tętnem nasze klitki w pałacu Kronenberga. Budować wypadło wszystko od a do z. Żywe rozprawy toczyły się nad samą nawet nazwą Ministerstwo? Przeciwników miał ten termin wielu. Czemu nie Ministerium, jak za Królestwa Warszawskiego. A przy tym zachodziła możliwość interpretowania tej nazwy, jako rusycyzm, jako coś wiejącego ze wschodu. Bardzo byliśmy naówczas podejrzliwi i nieufnie nastroszeni na wszystko, co mogło trącić najłżejszym choćby wschodnim zapachem. Za Ministerstwem przemawiał jeden tylko, ale poważny praktyczny wzgląd: jego gramatyczna odmienność, pozwalająca identyfikować przypadki na podstawie końcówki. Do Ministerstwa, z Ministerstwem itd. Ministerium było tu bezbronne, dawało stale tę samą końcówkę. Przy formułowaniu aktów prawnych, rozporządzeń, odezwo itd. odgrywało to dużą rolę usuwając obawę niejasności, czy dwuznaczności tekstu, stąd też po pewnych tarciach zapadła gdzieś wyżej decyzja pisania — Ministerstwo. Zresztą jak zwyczaj zapadła gdzieś wyżej decyzja pisania — Ministerstwo. Zresztą jak zwyczaj w Polsce znalazł się urząd, który zbankotował to rozporządzenie. Ministerium Rolnictwa nie tylko nie przestało tak pisać swego tytułu na blankietach pism, ale wyrzyło tę swą nazwę metrowymi literami w wielkim napisie na porytku wejściowym pałacu prymasowskiego przy ul. Senatorskiej. Napis ten przetrwał wojnę i pożar gmachu i stanowi po dziś dzień jeden z dokumentów polskiej niekarności administracyjnej.

Początki urzędowania w naszych kronenberskich klitkach były niezmiernie miłe. Bieże, kręcące wtedy przez nas z piasku, były jedną niewstałą improwizacją. Bez wzorów, po omacku, tworzyliśmy ustawodawstwo szkolne, bez zatwierdzonego budżetu, niemal bez funduszu tworzyliśmy szkoły. Czasem sięgało się do dawnych polskich wzorów Izby Edukacyjnej, czy Komisji W. R. i O. P., to znów dostawałem do zreferowania jakąś współczesną ustawę szkolną, francuską czy niemiecką. Wyrażenie „tworzyliśmy szkoły” jest zresztą niefortunne, bo szkoły tworzyły się same. Społeczeństwo ogarnął istny szal organizowania tego szalu i nadania mu racjonalnego kierunku. Nie było to rzecz łatwą. Owczy pęd parł w kierunku masowej produkcji ogólnokształcących szkół średnich. Parły w tym kierunku i lokalne ambicje rozmaitych zapadłych partykularzy, które nagle zapragnęły własnego gimnazjum, choć może do niedawna nie miały nawet i dobrze zorganizowanej szkoły powszechnej. Droga najmniejszego oporu robiła także swoje; gimnazjum ogólnokształcące nie wy-

magalo naówczas zawodowego przygotowania nauczycieli, uczył w nim kto chciał i jak chciał, byle trochę więcej umiał od swoich uczniów, czy uczennic. W rezultacie bardzo prędko doprowadziło to do kolosalnego przerostu liczbowego szkoły średniej, niskiego jej przeciętnego poziomu, braku wykwalifikowanego nauczycielstwa, wykradania sobie przez szkoły wzajemnie lepszych sił. Pamiętam *gaudium*, jakie miało miejsce w ministerstwie na wiadomość o pierwszej dobrowolnej likwidacji jakiejś szkoły średniej na Podlasiu. Niebawem zaistniała konieczność przymusowego zamykania niedorozwiniętych nowotworów szkolnych. Ile to było z tej okazji hałasu i protestów. I jakie dąsy, obrazy, gdy się np. zaproponowało, by taki nowotwór przekształcić na szkołę zawodową lub na wzorową szkołę powszechną.

Szkoła „powszechna“ to anachronizm. W r. 1917 tego terminu jeszcze nie było, a jeśli był, to tylko w jakiejś pionierskiej publicystyce. Szkoła była „ludowa“ albo „elementarna“, a raczej „lamentarna“, jak ją w charakterystyczny sposób przekreśliła niebawem gwara ludowa. Tu o przesycie, przeroście nie było w ogóle mowy, tu była próżnia, którą trzeba było zapelnąć za wszelką cenę, tu niebezpieczeństwo niskiego poziomu bładło wobec hasła „lepiej marna szkoła niż żadna“.

O dwustopniowości w administracji szkolnej nie było jeszcze wtedy mowy. Departament zwerbował bezpośrednio pierwszych inspektorów szkolnych powiatowych, Ministerstwo skompletowało ten zespół i wyprawilo ludzi na ich posterunki z bardzo ogólnikowymi wskazówkami i jeszcze bardziej ograniczonymi środkami materialnymi. Inspektorowie ci musieli też zacząć od najmowania lokali na inspektoraty, od kupowania i ustawiania stołów i stolików. Dopiero po paru tygodniach zaczęły przychodzić od nich raporty. Duszna rosła od lektury tych sprawozdań. Jakież ta niwa szybko zieleńca się i rosła.

Byłoby o tym dużo do pisania, ale... nie piszę historii szkolnictwa, jeno pamiętnik. Wróćmy tedy do palacu Kronenberga. Ponikowski oświadczył z punktu, że urzędować tu nie będzie i... w parę dni później Ministerstwo wylądowało w Alejach Ujazdowskich, w kilku lokalach rozrzuconych na dystansie 200 metrów. Biuro Ministra zajęło luksusowe mieszkanie na czwartym piętrze w domu Nr 17, Sekcja szkół powszechnych, a zdaje mi się że także i średnich w domu Nr 20, wydział finansowy w domu Nr 39, tworzący się wtedy wydział później departament wyznań w marożnym domu przy ul. Szopena.

Stosunki koleżeńskie ułożyły się niebawem niezwykle miło. Bylem w tym gronie człowiekiem nowym, ale zżyłem się dziwnie łatwo i prędko z tym gronem entuzjastów, bo zaiste trudno inaczej nazwać ów pierwszy zwerbowany przez Pomorskiego zespół pracowników odradzającej się polskiej władzy szkolnej. Dwa typy ludzi zetknęły się z sobą przy wspólnej pracy: elita konspiracyjnych działaczy oświatowych Królestwa Polskiego z elitą zawodowego elementu nauczycielskiego galicyjskich środowisk administracyjno-szkolnych.

Pierwsi reprezentowali w tym zespole i w wyrosłej z niego niebawem żywiołowej pracy raczej energią i inwencją twórczą, drudzy doświadczenie zawodowe i wyrobienie administracyjne. Uzupełniało się to wzajemnie cudownie. Święty zapal dla sprawy, równy po obu stronach, zapobiegał zbytniemu indywidualizowaniu się czy anarchizowaniu pierwszych, a biurokratyzowaniu się drugich i wytwarzał pełną dobrej woli harmonię. Dość powiedzieć, że tak wspólne w owej dobie dzielenie świata polskiego na koroniarzy i galileuszów nie istniało w biurach Ministerstwa W. R. i O. P. zupełnie. A przeciw cóż było łatwiejszego, jak ów nieszczesny separatyzm dzielnicowy w pokojach, w których koroniarze z galicianami-urzędowali nieledwie przy tych samych stolikach. Zapomnieliśmy o tym zupełnie i dosłownie nie czeplił mi się w pamięci z tych czasów już nie jakiś głębi dysonans, ale nawet prosty, błahy żart tego typu.

Nie, prawda, pamiętam jeden fakt, ale właśnie sposób, w jaki go pamiętam, wskazuje wyraźnie na przemily koloryt tych stosunków. Było to jakoś w samych początkach. Zmiałkowaliśmy, że Żłobicki, naczelny inspektor szkół powszechnych używa w swej korespondencji nieco zbyt urzędowego „galicyjskiego“ zwrotu: „załatwisz pan“, „wypełnisz pan“, co mogło razić naszych królewiackich adresatów. Pamiętam na ten temat jakąś rozmówkę z Pomorskim, który to w jakiś bardzo dyskretny i delikatny sposób załatwił ze Żłobickim. „Wypłacisz“ zniknęły niebawem z korespondencji bez śladu, ale i bez bólu.

Później, kiedy już machina ministerialna rozrosła się, gdy pęczniące wciąż biura wypełnił tłum ludzi różnego pokroju, poziomu i aspiracji musiały się zakraść do tych biur różne urzędowe choroby, zakwitły bujnie ambicje osobiste, separatyzmy wszelkiego rodzaju nie tylko dzielnicowe, ale koteryjne, wydziałowe, czy wręcz stolikowe, drobne zawiści, intryżki i świnstewka codziennego życia biurowego, wypłynęła hydra aprowizacyjna odalająca najistotniejsze oblicze wiecznie głodnej nędzy urzędniczej, zazgrzytały wreszcie z coraz to większym triumfem hamulce biurokratyczne.

Tak było później. Ale wtedy w tym kapłańskim, twórczym, raczej improwizatorskim okresie bieżów z piasków nie było jeszcze mowy o czymś podobnym. Urzędowało się doprawdy w jakimś transie i gdyby nie splugawienie później tego określenia za czasów sanacji, pechało by mi się pod pióro wyrażenie: radosna twórczość. Tak, to była naprawdę radosna, dostojna twórczość.

Nie było też jeszcze wtedy w naszym gronie cienia służalczości. Zwierzchnika, choćby to był sam minister, traktowało się jak starszego doświadczonego koleżę biurowego. Do dziś pamiętam przykry i ostry zgrzyt w tym nastrój, jaki miał miejsce na jakiejś konferencji u ministra, a właściwie przed konferencją.

Jest nas kilkanaście osób w pokoju, między innymi minister Łukasiewicz, człek niski, szczupły, o niepozornym wyglądzie zewnętrznym, a dużym

wdzięku i prostocie w obcowaniu z ludźmi, czy był to podwładny, interesant, czy zgola obcy. Do pokoju wchodzi nowy urzędnik, p. P., syn b. ministra dla Galicji, wychowany widocznie na wiedeńskich urzędniczych salonach. Zobaczył ministra — znalazł go widać z widzenia — podszedł, witając się, złamał się dosłownie wpół i... zamarł w tym ukłonie. Trwało to zapewne ułamek sekundy, ale jednak wystarczająco długo, by nas wszystkich wmurować w podługę w dręczącym oczekiwaniu: kiedyż on się nareszcie odegnie? — Nareszcie! Ulga powszechna. Wszyscy mają speszzone miny. Najbardziej speszony jest minister. Dłuższy czas komentowaliśmy tę scenę z oburzeniem, tak dalece kontrastowała ona z naszymi wypranymi naówczas radykalnie z serwilizmu ustrojami służbowymi.

Na ów wstępny improwizacyjny okres przypadają urodziny instytucji luźno zupełnie związanej z Ministerstwem, acz nie wolnej od wpływu na najistotniejsze jego posunięcia. Był nią konwentykiel kilku ludzi, którzy schodzili się na tzw. czarne msze. Duszą tych zebrań i najczęstszym gospodarzem był ksiądz Jan Gralewski, naówczas jeden z ministerialnych inspektorów szkolnictwa elementarnego, człek w ogóle niezmiernie ruchliwy, czynny i żywotny. Znałem księdza Jana od czasów mego dzieciństwa, był bowiem prefektem w naszej szkole. Niestety nigdy w naszej klasie. Miał już w szkole opinię anioła, który zabłądził na ziemię i może dlatego nie umie po niej dobrze chodzić. Kiedy później zasłynął jako złotousty kaznodzieja, który wymową swą porwał całą Warszawę i który w chwilach ekstazy sam otarł się nad amboną, opinia ta zdawała się znajdować potwierdzenie. Tymczasem w służbie swej w Ministerstwie wykazał duże talenty administracyjne i duży zmysł rzeczywistości, nie tracąc bynajmniej nic ze swych wzlotów, nie anioła, ale człowieka zdolnego do entuzjazmowania się tym, co entuzjazmu warte. Bardzo miły był jako gospodarz naszych zebrań. Wesoly, dowcipny, nie gardził anegdotą, nie wyłączając i ryzykownych, byle były podane z wdziękiem i finezją. Równie dowcipny i równie czarującym wdziękiem owiany był drugi filar czarnych mszy, naczelny inspektor Władysław Złobicki, w terminologii sekretariatu generalnego Misiem zwany, człek niedźwiedziej powierchowości, a gołębiego serca. Najpracowitszy człowiek w całym Ministerstwie, spędzał w nim dosłownie cały dzień od wczesnego ranka do późnej nierzaz nocy. Pochodził ze wschodniej Galicji i wnosił do naszego grona moc na wpół zrozumiałych prowincjonalizmów, ale czynił to z takim humorem, wdziękiem i dobrocią, że nie było w jego otoczeniu człowieka, któryby się ośmielił z tego zadrwić. Przygwożdżony wiekuiście do biurka, spotykał się z poważniejszym zarzutem zbyt papierowego ustosunkowania się do zagadnień szkolnych. Stawiano zarzut, że naczelny inspektor jest tak pochłonięty pisaniną, że nie zagląda nigdy do szkół i skutkiem tego nie wie, jak wygląda rzeczywistość szkolna. Nie umiem rozprawić się z tym zarzutem, bom sam za krótko pracowałem w szkolnictwie, ale myślę, że żar tego serca był tak silny, że i pisane

przez niego drobny sznureczkiem papiery nie były papierowe i robiły swoje. Człowieka ideału, a takim był w każdym calu pan Władysław, najdłuższa rutyna na biurokrata nie przerobi. Umysłowość bardzo nieprzeciętna. Nic śmiały, cichy, skromny, zawsze na końcu wszelkiej dyskusji głos zabierał, ale argumentacja jego była zazwyczaj nie do obalenia.

Trzecim tużem czarnych mszy był ówczesny kierownik całego szkoleniwa średniego, późniejszy minister W. R. i O. P., Tadeusz Łopuszański. Znów olbrzym i wzdłuż i wszerz, mocna postać o byczym karku i niedźwiedziej staturze. Twarz brzydka, zniekształcona przetręconym jakimś, czy wgniecionym nosem, z ponad którego świeciły żywe, rozumne oczy. Jeśli syntezą postaci księdza Gralewskiego był polot i wdzięk, a Złobickiego serce, to u Łopuszańskiego dominantą był niewątpliwie temperament. Trzeba było widzieć w dyskusji tego olbrzyma. Ściany się trzęsły ze strachu, gdy wpadł w ferwor, a kiedyż on w ferwor nie wpadał. Poryweczy z natury, straszny był w gniewie. Mało rzeczy pamiętam z mej służby w Ministerstwie z równą plastyką, jak beztanie, jakie mię kiedyś od niego spotkało, beztanie, na które zroszta całkowicie zasłużyłem. Jako sekretarz generalny, byłem równocześnie redaktorem Dziennika Urzędowego Ministerstwa. W Dzienniku tym, na skutek czyjejś omyłki, a mego niedopatrzania, ukazał się w dwóch kolejnych numerach ten sam tekst rozporządzenia. Gdybyż jeszcze identyczny, ale z pewnymi odchyleniami. Skandal na całe Ministerstwo. Bliki byłem wtedy podania się do dymisji, czemu to tego nie doszło, nie pamiętam, ale rozmówkę na ten temat z Łopuszańskim, naówczas już ministrem, będę pamiętał chyba nawet i po śmierci.

Umysłowość znów bardzo nieprzeciętna, z wykształcenia matematyk, głowa jasna, trzeźwa, praktyczna; rozumowanie proste, logiczne, a że wypowiedziane zawsze z bajeczną werwą i temperamentem, więc słuchało się tego z zapartym tchem. Jeden miał feler zgola nie matematyczny — skłonność niekiedy do powtarzania się i rozwałkowywania pewnych kwestyj ponad wszelką dopuszczalną miarę. Zupełnie patologiczne rozmiary przybrała ta cecha, gdy został ministrem. Liczba okólników, które zaczęły wychodzić z Ministerstwa, stawała się zastraszająca. Autorem ich był przeważnie sam minister, który gubił się w tysiącznych szczegółach bytu szkolnego i wyładowywał w tym niesłychaną moc energii, którą należało zachować na zagadnienia o szerszej perspektywie i wyższej hierarchii. Wtedy dopiero zrozumiałem, jak dalece trafna jest opinia jakiegoś francuskiego polityka, który twierdził, że najgorszym kandydatem na ministra jest specjalista danego zakresu służby. Ministrem winien być człek o szerokim horyzoncie umysłowym, gruntownie, ale ogólnie wykształcony, dokładnie obeznany z zagadnieniami, którymi ma kierować, ale broń Boże nie zrośnięty z nimi długoletnią służbą zawodową.

Dwaj pozostali członkowie czarnych konwentykli nie odgrywali już w tym zacnym gronie wybitniejszej roli. Był to Henryk Chodulnicki, wizytator szkół

średnich, i ja. Chodynicki, z natury zamknięty w sobie milczek, ja, zielony jeszcze oświatowiec, nie miałem tam zbyt wiele do powiedzenia.

Czarne msze miały podwójny porządek obrad. Zaczynało się od przeglądu najważniejszych przeżyć Ministerstwa z ostatniej doby i najaktualniejszych zamierzeń na najbliższą przyszłość. W nieoficjalnej, nieprotokolowanej swobodnej gawędzie omawiano się najważniejsze problemy polityki oświatowej owych przełomowych lat. Porządku dziennego nikt nie ustalał, dyktowało go samo życie swoimi aktualiami. Nie było też oczywiście referatów, choć czasem przynosili nasi panowie z sobą jakieś papiery i odczytywali je zebrany.

Jak wynikało z samego składu zebrań, dominowały tam zagadnienia szkolnictwa powszechnego i średniego, odpowiadało to zresztą układowi stosunków w Ministerstwie, w którym organizacja innych działów szkolnictwa szła dziwnie opornie. Sekcję (odpowiednik późniejszych departamentów) szkolnictwa wyższego reprezentował przez szereg pierwszych miesięcy sam jeden tylko inżynier Tomczycki w stopniu referenta. Jeszcze gorzej było ze szkolnictwem zawodowym, które w ogóle pozostało nieobsadzone i pierwszy jego referent, inż. Stanisław Manduk, rozpoczął urzędowanie w Ministerstwie dopiero gdzieś, o ile pamiętam, w lecie czy na jesieni 1918 r., gdy inne biura Ministerstwa były już w pełnym ruchu.

Z moich wystąpień na czarnych mszach pamiętam jedno tylko niezbyt chlubne. Był to okres wprowadzania dwustopniowości do administracji szkolnej, tworzenia w nich okręgów. Chodziło o nazwę dla owych urzędów drugiej instancji. Nie wiem jaki zły duch podszeptał mi wtedy słowo „kuratorium“. Jako historyk powinienem być otrząsnąć się ze wstrętem na dźwięk tego słowa, mającego za sobą tak plugawe tradycje, jak szpiegowska Kuratoria Oeschelwitza et consortes z czasów królestwa przedlistopadowego, albo jak piękne grono polistopadowych kuratorów z Apuchtinem na czele. *Mea culpa, mea maxima culpa*. Nie zastanowiwszy się, poddałem projekt tej nazwy. Moi panowie nie zastanowiwszy się, przyjęli ją; z czarnej mszy termin ten przewędrował na drugi dzień do biur Ministerstwa i oto dzięki temu przysługuje mi dziś Herostratesowa sława ojca, a raczej chrzciciela Kuratoriów szkolnych.

Wszystkie te dostojne zagadnienia wypełniały pierwszą oficjalną, że się tak wyrażę, część czarnej mszy. Trwała ona w zależności od rozmiarów porządku dziennego, czy od temperatury rozpraw, czasem godzinę, czasem i kilka godzin. Po jej zakończeniu wnoszono „ciombryk“ (terminologia Żłobickiego), czyli imbryk, z gotującą się wodą, naparzano herbatę i tak w „ciepłym smrodku“ (terminologia ks. Gralewskiego) rozpoczynano część nieoficjalną, pełną niefrasobliwego, pogodnego humoru Żłobickiego i wdzięku księdza gospodarza. Menu było niesłychanie proste, iście studenckie: kielbasa, czy serdelki, masło; czasem jakiś kiszony ogórek, czy pomidor zależnie od pory roku. Niezależnie od pory roku zdołała zawsze nasz biesiadny stół pękała butel-

czyna, której chyba nigdy nie zrobiliśmy dyshonoru nieosuszeniem jej do dna. Myślę jednak, że wspaniały, iście szampański „rausch“, jaki owiewał niemał z reguły te nasze zebrania, nie był wyłącznie wynikiem spożycia alkoholu, ile że grały w nas wtedy alkohole o wiele wyższego zatężenia i marki.

Czarne msze trwały tak długo, jak długo trwała improwizacja, tj. przez pierwsze miesiące, czy w najlepszym razie przez pierwszy rok urzędowania. Potem, gdy berło władzy wziął w swe pracowite, nieczużone ręce J. K. Moś Paragraf I, gdy Ministerstwo weszło raz w ucierające się coraz wyraźniej własne koleiny, nasze konwentykły straciły rację bytu i zamaryły własną, naturalną, powolną śmiercią.

Już nie specjalnie z czarnymi mszami, ale z całą w ogóle ową pierwszą zieleńią mej ministerialnej niwy łączy mi się kilka wspomnień, sądzę, nie bez wartości dla charakterystyki owych czasów.

Kiedyś w początkach urzędowania min. Ponikowskiego zaszła konieczność powzięcia decyzji w jakiejś ważniejszej, czy bardziej skomplikowanej sprawie, dość, że minister zapragnął zasięgnąć opinii swoich współpracowników. Miałem polecenie zorganizowanie odnośnego zebrania. Skład jego Ponikowski niebacznie pozostawił mnie. Byłem wówczas jeszcze przesiąknięty kultem dla kolegialności obrad, miałem złudzenia, że im liczniejsze grono, tym wszechstronniej, głębiej zostanie omówiony przedmiot sprawy i tym łatwiejszą decyzją. W świętym moim zapale przeholowałem oczywiście i zaprosiłem na posiedzenie pewno z połowę ówczesnego Ministerstwa, tj. ze dwadzieścia parę osób. Bardzo byłem zdziwiony i zawiedziony w moich kolegialnych czy demokratycznych ambicjach, gdy Ponikowski z niewinnym marsem w twarzy, zlustrowawszy zebranie, bardzo prędko je zlikwidował, a później udzielił mi *suaviter in modo, fortiter in re*, admonicji za to zwołanie „sejmu“. Miał oczywiście rację. Jakże beznamiętnie puste i jalone są zazwyczaj wszelkie liczne konferencje urzędnicze.

Drugim też nieco zielonkawym wyczynem moim z tej epoki było lansowanie na wodach Ministerstwa p. Jesienia. Zgłasza się kiedyś do Sekretariatu Generalnego osobnik tego nazwiska, podający się za działacza szkolnego na terenie emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych. Pragnie nawiązać kontakt z Ministerstwem, zaznajomić jego pracowników ze stanem szkolnictwa polskiego w Ameryce Północnej i na wzajem zorientować się w dotychczasowych rezultatach pracy oraz w planach na dalszą metę Ministerstwa. W ciągu kwadransa zdążył nie tylko zasypać mię gradem cyfr, danych i faktów, ale zaimponować swą, umiejętność i świetnie prowadzonej propagandy, wreszcie zjednać dużym niewątpliwie osobistym wdziękiem i swobodą bycia. Oczarowany talentami p. Jesienia, puszczałem się na dwie imprezy. Pierwszą był *cercle* w domu pp. Konarskich, pierwszy i jedyny w moim życiu z udziałem dwóch moich ministrów, tj. Pomorskiego i Ponikowskiego i kilkunastu co najmniej dygitarzy ministerialnych, których zwałem na kark mojej żonicy.

Mimo że nasze warunki domowe — mieszkanie — kredens — obsługa — były niezmiernie skromne i nie przystosowane do podobnych występów, *cercle* udał się zupełnie dobrze i wspomnienia z tego zebrania mam zupełnie przyjemne. Lekki dysonans miał miejsce dopiero na drugiej imprezie, tj. posiedzeniu, jakie zainicjowałem i zorganizowałem w Ministerstwie, znowu z udziałem co najmniej kilkunastu osób. Jesień miał tam referat o szkolnictwie polskim w Ameryce, po którym wywiązała się wcale nawet ożywiona dyskusja. Byłem zupełnie zadowolony z przebiegu tego zebrania, gdy po jego zakończeniu podchodzi do mnie inspektor szkół powszechnych, Marian Reiter, i ze zwykłym swym zjadliwym nieco, ironicznym uśmiechem oświadcza mi więcej w ten tenor, że zarówno z referatu, jak i z dyskusji odniósł wrażenie, że p. Jesień nigdy szkoły polskiej w Ameryce nie oglądał. Brałem to na karb znanego dobrze w Ministerstwie złośliwego, a jakże ciętego humoru kochanego pana Mariana i nie przejąłem się zbytnio tą uwagą, ale ktoś opisze moją dekonfiturę i przerażenie w parę dni później, gdy p. Jesień zdążył już zniknąć z warszawskiego horyzontu, dostaję, zdaje mi się z M. S. Z., ostrzeżenie — czy nawet nie depezę — by p. Jesienia traktować ostrożnie, gdyż jest to ordynarny „amerykański łapichłop”. Bliższego znaczenia tego ostatniego epitetu nie mogłem się wprowadzić ani wówczas, ani później dopytać, niemniej wszakże istota ostrzeżenia była wymowna, wyspa moja zatem nabierała wystarczającej mocy. Jeśli co łagodziło sytuację to to, że poza mną dali się wziąć na lep wymowy i wdzięków p. Jesienia wszyscy moi ministerialni koledzy, nie wyłączając i ministra i tylko jeden Reiter miał prawo do słusznego triumfu, bo jeden jedyny ocenił tę wymowę należycie.

Gdzieś na te pierwsze moje ministerialne czasy przypada fakt, który przy odpowiednio złośliwej interpretacji mógłby na opinii sekretarza generalnego zaciężyć dość ponurą plamą. Ni mniej ni więcej, tylko wziąłem łapówkę. Wprawdzie niechęć, ale wziąłem.

Jeszcze w czasach moich nauczycielskich i profesorskich (Uniwersytet) byłem nieraz nagabywany przez różne instytucje o wygłaszanie odczytów na tematy historyczne. Na ogół nie odmawiałem i miał się tych występów rok rocznie sporo. Nie mogę tu sobie odmówić pewnej dygresji. Kiedyś mówiłem o dziejach oręża polskiego, o tym, jak powoli ucierala się praktyka broni palnej, jak skomplikowane było ongi przygotowanie do strzału. Jakże mię ubawiła na drugi dzień po odczytaniu recenzja z „niego, zamieszczona w jednym z pism, w której wyczytałem mniej więcej taki ustęp: „Jakże to wiele czasu wszystko trwało. Samo celowanie rozłożone było na tempa i obejmowało kilka komend. A cóż dopiero sam strzał...”

Odczyty te najężej kończyły swój żywot w sali odczytowej, czasem, rzadko, wychodziły w druku, w postaci bądź artykułów, bądź osobnych broszurek. Potem jakoś ta moda na odczyty minęła, przestałem być zapraszany. Można się tedy zdziwić w życiu jednego ze znanych księgarzy warszawskich,

który przyszedł do Sekretariatu, by mi zaproponować edycję, czy też nawet reedycję kilku moich odczytów. Jak każdy młody autor, nie mogłem oczywiście nie czuć się pochlebiany tą propozycją i pojąłem przyjęcie wraz z baczkiem. To, że tam tkwił ów haczyk, to, że cała rzecz była zaaranżowana jedynie i wyłącznie po to, by zjednać sobie pana Sekretarza Generalnego, z tego zdałem sobie sprawę dopiero w wiele, wiele lat później. Taktyka wydawcy była sprytna, obliczona na długą metę. Nie postawił mi on żadnych warunków, czy postulatów, ani zaraz, ani później — byłoby mi się może wyjaśniło od razu to osobliwe zainteresowanie moim odczytami — ot po prostu chodziło o wytworzenie w Ministerstwie przychylniej dla firmy atmosfery. Byłem zbyt zielony, by się na tej misternej dyplomacji poznać i acz nieświadomie, ale jednak co tu gadać — wziąłem łapówkę.

Dziwnie świeże i niezmiernie miło wspomnienia pozostały mi z pierwszej ministerialnej wizytacji, jaką przedsięwziął minister Ponikowski, zabierając z sobą do samochodu — mieliśmy już wówczas ministerialną maszynę — Gąsiorowskiego, szefa szkolnictwa elementarnego Łopuszańskiego i mnie. Droga prowadziła przez Siedlce do Lublina, stamtąd bodaj przez Radom i Tomaszów mieliśmy jechać do Łodzi, ale na skutek defektów w samochodzie, z Tomaszowa wykręciliśmy ku Warszawie. Nastroje były nadzwyczajne. Była wiosna w całym jej rozkwicie, a jednocześnie z ziemi i z podziemi były już wtedy wszystkimi porami przedwiosenne fluidy innej wiosny, która w owym błogosławionym mimo wojny roku 1918 zawiłała do Polski dopiero w listopadzie.

Witano nas też jak mesjaszów owej listopadowej wiosny ze łzami w oczach, które były tym szersze i gorętsze, że młode, boć jechaliśmy nie po co innego, jeno by zobaczyć polskie dziecko w odrodzonej z popiołów niewoli polskiej szkole. Zwiedzaliśmy i ośrodki miejskie i szare, niepozorne szkolki wiejskie. Wszędzie ten sam bież z piasku, ten sam chwytający za gardło zbiorowy, *contra spem spero*, wysiłek społeczeństwa, mierzącego siły na zamiary, nie zamiar według sił.

Wyprawa trwała prawie tydzień. Ostatni etap podróży miał przebieg nieco dramatyczny, a dla osoby sekretarza generalnego nawet tragikomiczny. Paul nam się wciąż samochód, a właściwie jego gumy, które nawały raz po raz, zmuszając nas do ponawianych wciąż postojów na szosie. Podróż z Tomaszowa do Warszawy w normalnych warunkach powinna byłaby trwać dwie do trzech godzin, a tymczasem myśmy do Mszczonowa jechali pewno ze cztery godziny. Za Mszczonowem postoje zagęszczają się jeszcze. Robi się zmięrzeh, potem noc, reperacja pękniętych gum staje się po ciemku coraz trudniejsza. W końcu zapada decyzja: szukać noclegu w najbliższej wsi. Sekretarz Generalny, jako najmłodszy i wiekiem i urzędem, udaje się na wywiad. Wios była niewielka, ale jeszcze bliżej ukazały się psy, które całą gromadą obkoczyły mię z tak ofensywnymi zamiarami, że musiałem czym prędzej szukać schronienia na drzewie. Drzewo — to dużo powiedzieć. Do dyspozycji miałem kilka

rosnących przy drodze wierzbeczek o hardzo cienkich pniach. Nie było nawet bardzo czasu wybierać, który grubszy. Wylazłem na najbliższą; ugięła się bardzo niepokojąco, ale na nieszczęście nie złamała się. Pieski zasiadły dookoła i rozpoczęły regularne obłęzenie. Na moje szczęście przybyła niebawem odsiecz w postaci stróża nocnego, który przepędziwszy moich opresorów, zaprowadził mnie do pana dziedzica. Pan dziedzic spał już i był mocno nachmurzony, gdy mu zaproponowałem nocleg dla pięciu osób. To, że jedną z tych osób był minister oświaty odradzającej się Rzeczypospolitej, nie zdawało się na nim robić wielkiego wrażenia. Ostatecznie zgodził się acz z grymasami, których udawałem, że nie widzę, bo ostatecznie wyboru bardzo nie było. Udaaliśmy się tedy ze stróżem ponownie ku szosie, odszukaliśmy samochód i sprowadzili całą ekipę na „nocleg“, który trudno uwolnić od cudzysłowu, bo z powodu panującego w domu potwornego niechlujstwa spędziliśmy noc raczej na krzesłach. Nazwy wsi, ani nazwiska pana dziedzica niestety nie pamiętam, a chętnie bym te imiona własne potomności przekazał, jako przykład, jak bliźniemu noclegu dawać nie należy.

Cztery lata spędziłem w Ministerstwie. Miłe, dobre, pogodne lata. Jeśli mi czego brakło, to bezpośrednich wyników, owoców mojej pracy. Wsiąkło jej tam wiele, ale moja misja generalnej oliwiarki wielkiej ministerialnej maszyny była z jednej strony zbyt rozstrzelona, wielostronna, z drugiej, z założenia swego anonimowa, że kiedy dziś z perspektywy trzydziestu lat patrzę na ów okres, nie zostaje mi z niego nic własnego, konkretnego, czym bym się mógł przed potomnością wykazać, czy podzielić. Jest jeden szczegół, który ratuje sytuację, książka, która wyrosła z mej ministerialnej gleby. Zabrałem się do niej pod koniec mego urzędowania w Ministerstwie. Miało to być utrwalenie i uratowanie od zagłady zapadających się z każdym dniem w odmętę przeszłości danych statystycznych, wspomnień, ustnych przekazów, słowem, pisanych i niepisanych okruchów owego pierwszego improwizacyjnego okresu tworzenia się nowej polskiej szkoły, — wyszła książka pisana uczciwie¹⁾, w granicach ludzkiej możliwości ściśle i wyczerpująco, ale sucha, nie oddająca w najmniejszym stopniu atmosfery i ducha ożywiającego nasze kronenberskie czy ujazdowskie kłitki.

Wracam do mojej pracy. Była ona równa, pozbawiona burz i wstrząsów. Można ją było pełnić umiejętniej, niż ja to robiłem, zaiste, trudno ją było pełnić gorliwiej. Przy całym moim autosadyzmie nie mogłem też sobie nie przyznać taktu w postępowaniu z ludźmi. Inaczej trudno byłoby sobie wyobrazić czterech lat mego urzędowania i ciągłych interwencji w najróżnorodniejszych sprawach tego czy innego dygnitarza — bywały i sprawy drażliwe i obalane — bez scysyj i zatargów. A ja w ciągu całego tego czterechlecia pamię-

¹⁾ Kazimierz Konarski „Dzieje szkolnictwa w Królestwie Kongresowym, 1915—1918“. Kraków 1923, Prace monograficzne z dziejów wychowania i szkolnictwa w Polsce, nr 5.

tam jeden jedyny i to drobny zatarg — poza ową admonicją Łopuszańskiego, o której pisałem wyżej, a która nie była zatargiem, ale po prostu rzeczą nazywającą, besztaniem. Zatarg miałem z p. Strasburgerówną, o ile pamięć, wizytatorką szkół zawodowych żeńskich. Pani S. wyszła wtedy wzburzona z mego gabinetu. Nie przysięgnę czy słuszność nie była po jej stronie, ale istota i przebieg zatargu spłowił w mej pamięci do cna.

Zatargów nie było, — było za to dużo przyjaźni ludzkiej. I po dziś dzień, gdy zdarzy mi się spotkać kogoś z tych dobrych czasów, to otwierają się ramiona i dusza i w oczach pojawiają się ciepłe błyski. Ilei tego serca doznałem i doznaję po dziś dzień od kochanych ludzi owego przemłego zespołu, od drogiego p. Stanisława Dobrowolskiego, czy od obojga pp. Reiterów, Radwana, Manduka, Miklaszewskiego. Wielu niestety już nie ma. Przyszłoby wymienić pół ministerstwa.

A sekretariat generalny. Najbliżsi współpracownicy, najmilsze gniazdko w tym wielkim, kochanym mrowisku. Tyle wspólnych trosk, tyle wspólnych radości. Jemu to niewątpliwie, sekretariatowi, tj. jego duszy, p. Helenie Grotowskiej, zawdzięczam serdeczny wyraz zbiorowej pod moim adresem przyjaźni, jakim był zegar ofiarowany mi przez kolegów, jako dar ślubny. Dany mi był ze śliczną wróżką, czy nakazem, pióra kol. Jerzego Wiewiórskiego, hym zonie zakazał patrzeć na „owo wymyślne instrumentum“, bo „tego wam właśnie życzym, byście godzin szczęścia nie rachowali, ale je brali bez miary“.

Zegar ten stał się sam z kolei moim serdecznym przyjacielem. Przez dwadzieścia lat stał na moim biurku, mierzył nam hojną, podwójną miarą godziny szczęścia i snuł mi do ucha swym równym szepcieniem opowieść o dobrych, znacznych i życzliwych sercach ludzkich.

Jeszcze parę słów o sekretariacie. Dziwnie szczęśliwą rękę miałem w doborze personelu, byłem wszakże tak zielonym jeszcze wtedy, tak młodym szefem. O arkanach skomplikowanej maszyny biurowej, jaką jest registratura dużego urzędu nie miałem najłżejszego wyobrażenia, a jako sekretarz generalny byłem bezpośrednim zwierzchnikiem naczelnika kancelarii głównej ministerstwa. Jakżeć łatwo mógł on być zakręcić mną, jak szewe kopytem, wyzyskać moją nieznaną terenu, oplątać siecią istotnych i stworzonych *ad hoc* registraturalnych węzłów i trudności. Jakże często wielcy szefowie tkwili w biurokratycznej niewoli u swych naczelników kancelaryj.

Na moje szczęście pierwszym naczelnikiem kancelarii był człek niezdolny do żadnych pajęczych instynktów, ni intryg. Nazwiska nie pamiętam, człowiek starszy, siwy. Był, jak mówi rosyjskie powiedzonko, — niższy od trawy, eichszy od wody. Przede mną drżał z obawy silniej jeszcze, niż ja przed nim i to mi dało przewagę. Na szefa kancelarii nie nadawał się zupełnie i niebawem przeszedł na jakieś właściwsze dla siebie, eichsze kancelaryjne stanowisko, gdzie w spokoju ducha układał sobie swoje papierki, ale dla mnie był opatrnościowym człowiekiem, bo nauczył mnie pierwszych arkanów registratural-

nych. Kiedy po nim przyszedł p. Wojciechowski, już całkowicie człowiek na swoim miejscu, przestałem już być frycem, któremu lada kancelista może zaімponować, wiedziałem co to jest koncept, minuta, wiedziałem, że „exhibit“ nie stoi w żadnym stosunku do exhibicjonizmu i nie jest zakazany przez kodeksy sądowe i moralne, ale jest sobie zwykłym zapisanym kawalkiem papieru, który w dzisiejszej terminologii nosi ponoć spolszczoną acz znówuż dwuznaczną nazwę „wpływ“. Toteż stosunki moje z p. Wojciechowskim ułożyły się najzupełniej normalnie i poprawnie, a gdy niebawem zauważyłem w nim skłonności reformatorskie i twórcze, a sam byłem, jak się rzekło, naczyniem pełnym gorliwości i dobrej woli, zaczęliśmy przeto ślezczyć we dwóch, a raczej z p. Grotowską we trójkę nad różnymi regulaminami i przepisami służby registraturalnej. Co to było warte, mogłaby może ocenić potomność, gdyby nie to, że wszystko to niewatpliwie spłonęło w r. 1944. Pracy naszej wsiątko w to dużo.

Wreszcie szefowi moi. Miałem ich siedmiu. Większość ich już nie żyje. Mogę więc o nich pisać swobodnie. Mogłbym zresztą o wszystkich pisać swobodnie, bo nie złego o nich do napisania nie mam, dobrego dużo. Pierwszym był Pomorski; o nim się już wspominało. Drugim był Ponikowski Antoni. Człek olbrzymiego wzrostu i tuszy, słusznie przeto wielorybem zwany, powolny w ruchach, flegmatyk. Zarzucano mu oportunizm polityczny. Może dlatego, że przetrwał cztery gabinety: Kucharzewskiego, własny, Steczkowskiego i Świeżyńskiego. Nie mnie o tym sądzić, czy i ile było prawdy w tych zarzutach. Od wielkiego politycznego świata i jego sądów i krytyk trzymałem się zawsze z dala. Miałem i mam Ponikowskiego po dziś dzień za człowieka głęboko i gorąco ideowego, i to mi wystarcza. W ministerstwie dał się poznać jako doskonały administrator, a przypadły mu rządy w najtrudniejszym momencie stawiania pierwszych kroków, budowania pierwszych zrębów. W postępowaniu z podwładnymi spokojny, zrównoważony i wykazujący niewatpliwie dużo dobrej woli i zadbania o ludzi, co podkreślić należy w dobie najcięższej mizerii urzędniczej, jaka zwała się na nas u świtu niepodległości.

Gdy ustępował wraz z gabinetem Świeżyńskiego w słynnym listopadzie, słynnego 1918 roku, żegnał wieloryba w Ministerstwie nieledwie placz powszechny. W powietrzu wisiał przewrót, płynęły zewsząd fluidy wyzwolenia, ale niejednemu ową różową jutrzenkę ómiła myśl o innym społecznym przewrocie. Ministerstwo nie było bynajmniej twierdzą reakcji, ale daleko nam było do lewicowości. Tak sobie ciepłutko, po środeczku. Nawet może i nie to, ale raczej apolitycznie. Na politykę nie mieliśmy po prostu nigdy czasu. Pamiętam jakie wrażenie wywarła w naszym gronie prośba o zwolnienie ze służby złożona przez słynnego uczestnika wyprawy, czy wypraw polarnych A. B. Dobrowolskiego, naówczas wizytatora szkół średnich. Czasy nieco wcześniejsze, bodaj chyba przedwiośnie tegoż 1918 r. Powodem była sprawa przysięgi urzędników na rzecz Rady Regencyjnej, co nie zgadzało się z demokra-

tycznymi poglądami wizytatora. Jak się ta sprawa skończyła nie pamiętam, ale rozgłosu w Ministerstwie nabrała wielkiego, budząc — jak tam komu, któregoś — u jednych uznanie, u innych oburzenie.

Na samą tedy myśl, że ministrem może teraz zostać jakiś straszliwy socjalistyczny potwór, szła zgroza przez ministerialne biura. Ludzie krakali, załamywali ręce, przewidywali rychłe nadejście bolszewizmu... Potwór na razie nie przyszedł. Po upadku gabinetu Świeżyńskiego przyszedł jeszcze krótkotrwały gabinet urzędniczy Wróblewskiego, a z nim ster rządów w ministerstwie objął, jako kierownik, najwyższy rangą jego urzędnik, podsekretarz stanu Bronisław Dembiński, szef naówczas wydziału (wkrótce Departamentu) wyznań. Zналиśmy wszyscy i lubili staruszka. Senior historyków polskich o wspanialej kasztelańskiej postawie i urodzie, sumiastym swym wście, nosił się z tą postawą, urodą i wąsem w sposób trochę teatralny. Nicco pozy i frazesu było i w okrągłych, zawsze wyczelowanych do czysta jego przemówieniach, ale za tą pozą, czy postawą, kryło się zacne, gorące, polskie serce, którego niepodobna było nie wyczuć, nie uszanować i nie polubić. Ministerstwem rządził wówczas niespełna dwa tygodnie, toteż oczywiście nawet nie próbował zabarwiać rządów jakimiś własnymi akcentami.

Po nim przyszedł ów ze zgrozą oczekiwany socjalistyczny potwór. Minister Ksawery Prauss w gabinecie Moraczewskiego. Wysoki, szczupły pan o wyglądzie suchotnika, głębokich bardzo wyrazistych oczach, prostym, ujmującym sposobie bycia. Rozbroił nas wszystkich bardzo szybko, sam nie wiem czym, czy prostotą swoją, czy bardzo rozumnym, rzeczowym podejściem do pracy. Pod narzuconym sobie siłą woli spokojem wyczuwało się dość wyraźnie duży temperament ideowy i mocny, zdecydowany charakter. Z natury nieśmiały, zamknięty w sobie, unikający świadomie kontaktu z ludźmi, obawiając się ich zarazić (rozmawiał zawsze zasłaniając sobie usta chustką), oddzielił się od nas taflą szklaną, przez którą nie przenikały kierowane ku niemu strzeliste nasze akty sympatii i uznania. Do końca pozostał wierny swej roli tajemniczego, nie udzielającego się otoczeniu zwierzchnika. Żadnego przewiska naszego — o ile pamiętam — nie nosił. Przygotowany na katastrofalne zmiany zarówno w składzie osobowym, jak i w całokształcie prac ministerstwa, byłem, pamiętam, zaskoczony jego tolerancją w stosunku do stanu rzeczy, jaki zastał. Wprost nie umiem sobie przypomnieć jakiegoś czy, aktu prawodawczego, czy nawet zarządzenia, które stałoby w jaskrawej sprzeczności z dotychczasową linią rozwoju naszych prac. Nie miał zresztą i on także wiele czasu na realizację swoich programów. Rządy jego nie trwały nawet dwóch miesięcy.

Przeciwnictwem Praussa był pod wieloma względami jego następca profesor Jan Łukasiewicz. W terminologii Sekretariatu: „kotek“. Zamiat szrowego, więcej zresztą dla siebie, jak dla nas odludka-samotnika o lekkim purytańskim zapaszku, dostaliśmy człowieka, który był nosobieniem wdzięku i wszelkich cnót w zakresie współżycia z ludźmi. Tu już o żadnych taflach

szklanych nie było mowy. Rozpuścił nas w ciągu paru dni na bicze dziadowskie. Z żadnym z ministrów nie było tak milej gawędy, czy nawet — *honnysoit qui mal y pense* — lobuzerki, jak z nim. Żywy, dowcipny, wesoly, wprowadził do ministerialnych, a przynajmniej sekretariackich murów atmosferę pogody o bardzo wysokim kulturalnym stemplu.

Jako minister położył ponoć duże zasługi przy rozbudowie szkolnictwa wyższego. Było to o tyle zrozumiałe, że przyszedł do nas z uniwersytetu warszawskiego, na którym wykładał filozofię ścisłą. Na urzędowaniu jego wszakże odbił się bodaj ujemnie jego naukowy rodowód. Profesor filozofii nie potrafił, mam wrażenie, na gruncie ministerstwa zejść na grunt realny i trochę teoretyzował. O ile pamiętam, berło ministerialnej władzy znużyło go rychło i dymisję gabinetu Paderewskiego, w którym zasiadał, powitał raczej z ulgą, jako wyzwolenie i możliwość powrotu do pracy naukowej.

Po Łukasiewiczu przyszedł z gabinetem Skulskiego Łopuszański, o którym już była mowa wyżej, przy czarnych mszach. Po nim w krytycznych dniach kijowskiego odwrotu — Rataj. Początki były podobne trochę, jak z Praussem, patrzyliśmy na tego ludowca z przekąsem, ostrząc sobie na tym rataju, przez małe r, języki. Urwały się te dowcipuszki bardzo prędko. Wystarczyło zobaczyć tę twarz, wcielenie skondensowanej, sprężonej woli, twarz jednocześnie silną i natchnioną, mającą w sobie coś z orła i coś ze lwa. Opanował ministerstwo niesłychanie szybko; nie wiadomo było, co w nim bardziej podziwiać, czy bystrość, inteligencję, która pozwoliła mu się od razu orientować w najbardziej zawilich i zagmatwanych sytuacjach, czy wolę, którą z tak niezwykłym umiarem i taktem umiał narzucić wszystkim. W całej mojej praktyce służbowej nie widziałem człowieka, któryby tak trzymał w cuglach podległy sobie urząd, jak to umiał czynić Maciej Rataj.

Przechodząc myślą galerię moich szefów sądzę, że typem psychicznie najbardziej zbliżonym do Rataja był chyba Pomorski. U obu — jeden był pierwszym, drugi ostatnim moim ministrem — ten sam szeroki horyzont, ta sama śmiała szybka decyzja, te same improwizatorskie zdolności i pomysłowość w sterowaniu nawą szkolną w podobnych nawet nieco warunkach. Obu im przypadły w udziale rządy w momentach najsilniejszych przesileń, kataklizmów, obaj pracowali na terenie zrujnowanym przez świeże trzęsienie ziemi.

Nadchodził kres mej służby w ministerstwie. W miarę, jak wygaszał pierwszy, święty, kapłański ogień improwizacji, stawało mi się tam coraz duszniej i ciemniej. Rola oliwiarki, wiekuięsto go pośrednictwa, bez wyraźnego własnego zakresu pracy i bez wyraźnych konkretnych jej rezultatów przejadła mi się już zupełnie. W pewnym stopniu zresztą rola ta stawała się zbędną. Ministerstwo miało za sobą parę lat pracy, utarły się już po trochu formuły i formułki, niebawem było tego aż za dużo, piszpany i piszpanny pisały w pocie czoła. Na wszystkich ministerialnych stołach rozpoczynał już swą zbożną pracę

św. Biurokracy. Nie. Zaczynałem tego mieć zupełnie zdecydowanie dosyć. W jesieni r. 1921 przeszedłem do służby archiwalnej, by na stanowisku dyrektora jednego z archiwów warszawskich rozpocząć ostatni mój, najdłuższy, trwający po dziś dzień rozdział życia.

W dobre parę lat później spotkałem kiedyś na ulicy mego wielkiego przyjaciela czasów ministerialnych, Samuela Adalberga, znanego zresztą monografistą przysłów polskich, naówczas referenta do spraw żydowskich w departamencie wyznań, Żyda, jednego z najzaciebiejszych ludzi i najlepszych kolegów, jakich znałem. Zgadalo się o dawnych czasach, o moim rozstaniu się z ministerialną budą.

— Jaki pan był mądry, panie Konarski — mówił wtedy pan Samuel — że pan umiał tak w porę wystąpić. Ja wtedy w głowę zachodziłem, co mogło być pana skłonić do rzucenia tak świetnej kariery, nie umiałem sobie tego zupełnie wytłumaczyć. Tak w pełni życiowego powodzenia zejść dobrowolnie z dużej placówki. Nie, nie rozumiałem. Dopiero później zmiarkowałem, jaki to był mądry krok z pańskiej strony. Zaimponował mi pan talentem przewidywania. Przecież oni byliby pana wygryzli niewątpliwie.

Były to już czasy Kumanieckich, czy może nawet już Jędrzejewiczów, słowem epoka przed-sanacyjna, czy sanacyjna. Kochany pan Samuel miał rację: sekretarz generalny owych czasów nie mógł być pozostać nadal neutralną oliwiarką, byłby musiał zabarwić swe oblicze wyraźnym rumieniem politycznym. W tej grze intryg byłbym z moimi atalentami politycznymi nie wytrzymał pewno i pierwszego słabego ataku i byłoby się na pewno skończyło na tym, że nie ja bym wyszedł z ministerstwa, ale — jak się to mawiało w sekretariacie — mnie „byliby wyszli“ w dwa tygodnie, czy w miesiąc.

W jednym tylko mylił się Adalberg, tj. w tym, że mi przypisywał zdolności przewidywania. Nigdy ich nie miałem i jeśli wyszedłem z ministerstwa, to nie dlatego, co miało w nim kiedyś nastąpić, ale dlatego, co się w nim wówczas działo. Kariera urzędnicza nie tentowała mnie nigdy. Zateśkniałem do cichszej, spokojniejszej atmosfery pracy naukowej.

Ale swoją drogą moją ministerialną służbę będę po wsze czasy mile wspominał.